

Samotna pani z Dulwich



BIBLIOTEKA
CHRISTIANITAS

LITERATURA

Maurice Baring

Samotna pani z Dulwich

Przekład:
Jan J. Franczak



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Tytuł oryginału:
The Lonely Lady of Dulwich

Projekt okładki:
Paweł Kula

Redakcja:
Bogusława Franczak

Korekta:
Janusz Stachowski

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
† Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze: Kraków 2024

ISBN 978-83-8205-299-2

© Copyright by Jan J. Franczak
© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków
tel. +48 534 037 299, +48 (12) 688 52 95
e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

Tłumaczenie tej książki dedykuję mojej Żonie.

Jan J. Franczak

Dla B. i C.

Post tempestatem magna serenitas

Thomas à Kempis

Rozdział I

Latem 1919 r. spędziłem dwa tygodnie w Haréville u wód. Poznałem tam pewną starszą panią, którą nazwę panią Legge. Mieszkalem wówczas w Dulwich.

Pani Legge, gdy się o tym dowiedziała, spytała mnie, czy spotkałem panią Harmer, która tam mieszkała. Nie spotkałem. W ciągu tych dwóch tygodni spędzonych w Haréville pani Legge opowiedziała mi historię pani Harmer. Oto ona albo raczej to, co z niej pojąłem.

Oliver Mostyn, pół-Irlandczyk z kroplą francuskiej krwi, kształcony w Niemczech i Paryżu i często podróżujący, był poszukiwaczem przygód w najlepszym tego słowa rozumieniu. Przygody były mu niestraszne i przygody go też spotykały. W pewien sposób przypominał słynny portret Buckingham autorstwa Drydena: był wszystkim z początku i niczym długo; prawie odniósł sukces w tak wielu projektach i przedsięwzięciach, ale nigdy całkiem; coś odkrył po prostu zbyt późno, ktoś inny już tego właśnie dokonał; prawie wygrał Wielką Gonitwę, stawiając na konia, który przyszedł czwarty; prawie trzy razy wybrano go do parlamentu; kiedyś praktycznie zdobył

fortunę, ale stracił ją natychmiast. Napisał sztukę, którą wystawiono i prawie odniosła sukces, ale tę samą sztukę wkrótce potem napisał ktoś inny i to ona sukces odniosła. Był przystojnym, wesołym, cieszącym się popularnością mężczyzną, żartobliwym, przyjacielskim i bezproblemowym. Jedyną rzeczą w jego życiu, która nie była porażką, było jego małżeństwo. Jego żona była Amerykanką z Południa, która wychowywała się we francuskim klasztorze: Dolores Foyle. Poznał ją w Paryżu. Wydarzyło się to wszystko dawno temu – Oliver ożenił się przed czasami II Cesarstwa.

Dolores w młodości była piękna: prostolinijna eteryczna blondynka o niebieskich oczach. Blask jej urody szybko przeminał, ale promiennosc jej dobrego humoru i niewyczerpany duch dobrej zabawy pozostały. Urodziła trzy córki i całe swoje życie spędziła na uciążliwym i ostatecznie pomyślnym zmaganiu, by związać koniec z końcem. To, że te końce faktycznie wiązała, mimo niepohamowanej i spontanicznej ekstrawagancji jej męża, było zasługą jej dyskretnej inteligencji jako gospodyni i jej bezpretensjonalnego talentu do prowadzenia domu. W młodości była uboga; prace domowe robiła sama i sama gotowała, i nikt nie potrafił zrobić apetyczniejszej sałatki czy lżejszego omleta. Jej córki wyrosły na niezwykle atrakcyjne dziewczyny i miała nadzieję, że wyjdą dobrze za mąż. W Londynie, gdzie jej mąż wynajmował sezonowo dom, wprowadzała je w świat. Musiał czasami mieszkać w Londynie – wyjaśniał – z powodu wyścigów; był zobowiązany brać udział w wyścigach – nie dla przyjemności oczywiście; nie ob-

chodziły go wyścigi – mawiał, „chyba że szło się na cały dzień z kumplem, a nawet wówczas było to piekielnie nudne”; ale musiał brać udział w wyścigach z przyczyn ekonomicznych, by pokryć swoje wydatki. Jego żona nigdy mu się w tym nie sprzeciwiała, ale jedynie miała nadzieję, że nie straci aż tyle pieniędzy, ile w ciągu ostatniego spotkania. Generalnie miał szczęście i dużo nie tracił; jednak z pewnością nic nie zarobił, bowiem to, co faktycznie zarobił na wyścigach, przepuszczał w klubach, grając w karty.

Dolores pokładała nadzieję w swoich córkach.

Najstarsza raczej nazbyt przypominała figurę woskową, by być prawdziwie piękną, i była w niej jakaś przesada, jak w dziecięcym rysunku piękna; urodziła się w złej epoce i doskonale wyglądałaby na ekranie; tym niemniej przyciągała uwagę i zyskała oddanie pewnego angielskiego arystokraty, lorda St. Alwyn, i wszystko wydawało się iść dobrze. Był zaможny i z dobrego rodu, miał posiadłości i dom w Londynie. Niestety, wkrótce po ślubie stracił całą swoją fortunę na wyścigach konnych. Wszystko trzeba było sprzedać; wszystko na wszelki możliwy sposób poszło źle; pierwszym rezultatem były kłótnie w domu i w końcu doszło do separacji. Jego żona, Teresa, wyjechała za granicę i zamieszkała w pensjonacie we Florencji; nie było rozvodu, gdyż państwo Mostyn byli katolikami. Dzieci nie było. Teresa otrzymała zasiłek od powierników swojego męża, a on żył radośnie pogrążony w długach, tak jak przedtem, i w grzechu ciężkim z przyzwoicie wyglądającą wdową. Każdy mówił, że lord źle się prowadzi.

Druga córka, Agnes, ciemna, podobna do Junony postać, wyszła za mąż za przyzwoitego, ale mało znanego włoskiego dyplomatę: jednego z tych dyplomatów, których zdają się wysłać do nieinteresujących miejsc. Mimo to była dość szczęśliwa, obojętnie czy było to Berno, czy Rio, czy Cetynia.

I była jeszcze trzecia córka, Zita. Jej matka, która w swej młodości była przystojniejsza niż wszystkie jej trzy córki razem wzięte, powiedziała z westchnieniem, że Zita nie będzie tak atrakcyjna, jak jej siostry. Nie będzie im w istocie dorastać do pięt.

Ale Oliver Mostyn, który był wielkim znawcą kobiecego piękna, powiedział, że Zita będzie pierwsza, a reszta na szarym końcu, i że wyjdzie za mąż za milionera. Kiedy Zita miała osiemnaście lat i miała właśnie zadebiutować – po spędzeniu pięciu lat w klasztornej szkole – okazała się, wbrew czarnym przepowiedniom jej matki, uroczą istotą. Roztaczała wokół coś tak łagodnego i promiennego, że przywodziło to na myśl jednocześnie świt i gołębie, kwitnące jabłonie i bez, i konwalie.

Jednak kiedy była już gotowa do debiutu w Londynie, Oliver Mostyn zmarł z powodu przeziębienia, którego się nabawił w czasie spotkania na wyścigach, ku ogromnemu żalowi kilku przyjaciół, szczególnie tych, którzy grali z nim w wista w jego klubie, gdzie potrafił stracić wszystko, z wyjątkiem panowania nad sobą.

Śmierć Olivera zmieniła całą sytuację. Pozostawił niewiele; niewiele było do pozostawienia. Dolores sprzedała to, co mogła, i przeniosła się na południe Francji, wynajmując tanie

mieszkanko w Cannes, skąd po krótkim czasie przeniosła się do tańszego pensjonatu w San Remo. Pierwszy rok obie z Zitą, pogrążone w głębokiej żałobie, spędziły we względnym odosobnieniu. W następnym roku Dolores zrobiła to, co mogła najlepszego dla Zity, którą ogromnie podziwiano, ale która mimo jej piękna – być może z jego powodu – nie miała powodzenia. Wydawało się w gruncie rzeczy, że przez to piękno ludzie byli powściągliwi i trzymali dystans, aż na scenie pojawił się Robert Harmer. Był czas Wielkanocy i Dolores oraz Zita przebywały w Nicei; był to ostatni radosny zimowy sezon II Cesarstwa.

Robert Harmer działał w biznesie, pochodził z północnej Anglii, odniósł sukces i był zamożnym bankierem. Zakochał się w Zicie od pierwszego wejrzenia i był zdecydowany się z nią ożenić. Przed upływem dwóch tygodni porozmawiał z Dolores i oświadczył się Zicie. Dolores oczywiście była oczarowana. Czy nie przeszkadzało mu, że Zita była nędzarką? Ani odrobinę. Czy różnica religii nie miała dla niego znaczenia? W ogóle. Nawet gdyby dzieci? Nie, gdyż w tamtych czasach synowie z mieszanych małżeństw wciąż mogli być wychowywani w religii ojca, a córki w religii matki. Robert Harmer nie miał zastrzeżeń; sądził, że nie ma znaczenia, jaka jest religia kobiet, i nie za bardzo to znaczenie ma, jaka może ona być w przypadku mężczyzn, chyba że sprawy stawały się kłopotliwe.

Zita nie była w nim zakochana ani trochę. Do tej pory w jej życiu pojawił się tylko przelotny cień romansu. Jej zainteresowanie budził przystojny, ale niesatysfakcjonujący młodzieniec,

którego uważano za osobę nieodpowiednią, lekkomyślną, pozbawioną skrupułów i rozrzutną. Działął pod wpływem teorii, że każda kobieta jest w głębi duszy rozpustna i że – jeśli od razu jasno da się do zrozumienia, iż samemu jest się na wskroś rozpustnym sercem, duszą i ciałem – bez wątpienia zdobędzie się jej przychylność. Im bardziej powściągliwa, trudna i niedosięglą wydawała się być kobieta, tym bardziej gorliwe i uparte były jego starania. Generalnie mu się udawało. Zita wydawała się onieśmielać ludzi i mawiali oni, że nie potrafią z nią znaleźć wspólnego języka. Nie tak było w przypadku Ruperta Westrela – gdyż tak miał na imię. Traktował Zitę z poufałością i bez troską, nie ukrywając nic i prawiąc jej najbardziej skandaliczne komplementy. Dolores była odrobinę zażenowana, ale Rupert ją pociągał i nigdy nie potrafiła oprzeć się jego poczuciu humoru, który posiadał w stopniu wybitnym. Oświadczył się Zicie, a ona przyjęła go od razu; ale ponieważ żadne z nich nie miało ani grosza, zgodzili się poczekać. Gdy tak czekali, Rupert zapoznał pewną ponętą i żwawą amerykańską spadkobierczynię. Wkrótce, w atmosferze pogodzonego męczeństwa, zerwał swoje zaręczyny z Zitą – głęboko wbrew swojej woli, jak wyjaśniał – i niedługo potem zaręczył się ze spadkobierczynią i z nią ożenił. Oboje – można by powiedzieć – mieli tego w życiu pożałować. Zita nie była rozpaczona, ale rozczarowana. Rupert był dla niej uroczy i nigdy nikt inny w ogóle z nią nie rozmawiał.

Zita odrzuciła pierwsze oświadczenia Roberta Harmera, ale sześć miesięcy później je ponowił.

Tym razem je przyjęła, ku ogromnemu zachwytowi jej matki. Przyjmując oświadczyzny Roberta, Zita po prostu kierowała się nakazami zdrowego rozsądku. „Jeśli zakocham się w kimś, z pewnością okaże się osobą nieodpowiednią, wręcz niemożliwą – rozumowała – ponieważ tacy są ludzie, w których ktoś się zakochuje; a jeśli nie wyjdę za mąż, będzie to oznaczać wiszenie u szyi matki jak kamień młyński, gdy jednocześnie ciąga mnie od pensjonatu do pensjonatu i odmawia sobie wszystkiego. Robiła tak całe swoje życie. Żywiła nadzieję co do swoich pozostałych córek; rozczarowały ją; a teraz mam szansę zrobić to, co najlepsze, wychodząc za człowieka, który może nie jest Romeo czy Księciem Czarusiem, ale jest atrakcyjny, uczciwy, miły i zamożny”.

Małżeństwo okazało się dla Zity szokiem – dużo większym szokiem niż się tego spodziewała. Nie tylko odkryła, kiedy wyszła za mąż, że wyszła za mąż za kogoś innego, ale wszystkie fakty – mniejsze i większe – okazały się dla niej szokujące i zaskakujące. Mieszkali na wsi w domu nazwanym Wallington. Robert był tak miły, jak to tylko możliwe, i chciał, by stawiała we wszystkim na swoim. Nie było teściowej; krewni, których miał, dawno nie żyli albo byli daleko. Nie miała na co narzekać. Nie stwarzał jej problemów co do religii i co niedzielę wożono ją na mszę. Zita nie była szczególnie religijna, ale wypełniała swoje obowiązki religijne automatycznie. Jednak tym, co ją dziwiło, był głównie brak jakiejkolwiek wymiany myśli czy zainteresowań. Wiedziała mniej o swoim mężu i jego działaniach, niż gdyby mieszkał na biegunie południowym.

W każdy poniedziałek rano, z wyjątkiem Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zielonych Świątek i sierpnia, jechał do Londynu i zostawał tam do piątku wieczorem, śpiąc w swoim klubie, gdzie miał stałą sypialnię. Nigdy nie wspominał o swoich sprawach. Nigdy nie był zły ani się nie gniewał. Bardzo zależało mu na tym, by Zita dobrze się bawiła i miała wszystko, czego zechce. Prosił ją, by zapraszała do domu swoich przyjaciół. Nie miała żadnych. Obie jej siostry były za granicą, tak samo jak i matka; a nie chciała, by przenikliwy jak reflektor wzrok pani Mostyn ogarnął sytuację.

Widowała dość sporo ludzi; byli sąsiedzi. Robert często zapraszał ich na uroczysty lunch w niedzielę i na odwiedziny w sezonie myśliwskim, jesienią lub w Boże Narodzenie. Pięć mil od nich byli lord i lady St. Eustace, którzy mieszkali bezdzietnie w swoim historycznym domu, gdzie niegdyś spała królowa Elżbieta i gdzie ukrywał się Karol II, a gdzie mimo to często było mnóstwo ludzi, młodszych i starszych, i gdzie lunch codziennie przygotowywano dla czternastu osób, obojętnie czy byli goście, czy też nie. Odrobinę bliżej mieszkali pułkownik Gallop i jego żona Emily. On był dużo młodszy od niej; mieli synów i córki. Emily Gallop tryskała energią i pochlebiała sobie, że wie o niemal wszystkim na tej ziemi – męskich sportach, tradycjach armii i marynarki, jak również o kobiecych osiągnięciach; zarówno o sztukach, jak i o rzemiośle. Miała zwyczaj badawczo przyglądać się robótkom ręcznym Zity i krytykować je, a także nakłaniała ją do grania w duecie na fortepianie albo akompaniowania jej, podczas gdy sama

śpiewała. Śpiewała kontraltem i gdy była zmęczona, nieco fałszowała; innymi razy nalegała na dokonanie inspekcji sypialni i stajni w Wallington albo spędzała w domu Zity wieczór, przeglądając wraz z nią książki, sprawdzając, których można by się z korzyścią pozbyć. Zazwyczaj przychodziła z mężem, którego świetny nastrój był niemal przesadny, i czuło się, że mimo całej swojej energii Emily Gallop była młodą swego męża odrobinę zmęczona. Czasami Robert i Zita jechali i zatrzymywali się u państwa Gallop. Odwiedziny w tamtych czasach rzadko trwały krócej niż tydzień, a czasami dziesięć dni, i nawet kiedy Robert był zbyt zajęty, by pojechać, Zita zwykle na długie przyjęcia z polowaniem albo latem na tygodnie krykieta jechała sama.

Jednak generalnie te odwiedziny jej nie przeszkadzały, gdyż zarówno państwo Gallop, jak i państwo St. Eustace byli przyjacielscy. I poza tym było wielu innych sąsiadów, którzy sami nikogo nie podejmowali, ale którzy przyjeżdżali na cały dzień albo na posiłek: anglikański biskup z Easthampton – kulturalny, czarujący i paradoksalny duchowny, podejrzewany o skłonności ku Kościołowi greckiemu, oraz jego żona – pełna erudycji i wojującej filantropii. Nigdy nie pojawiali się w niedziele; byli zbyt zajęci, ale czasami wpadali na kolację. Był też miejscowy pastor, który mieszkał w wiosce – rumiany i staroświecki, miłośnik porto i polowań na kuropatwy. Oraz jego bliski sąsiad – Charles Baxter – który pracował w City, w firmie Baxter and Coles, wielki przyjaciel Roberta. Był kawalerem i zwykł był przyjeżdżać do Easthampton na Wielkanoc i Boże

Narodzenie, a czasami na tydzień lub dwa we wrześniu i październiku. Był w średnim wieku, ale lubił młodych. Uwielbiał wyścigi, polowanie z psami oraz Homera i Horacego. Swoje dwa pierwsze hobby mógł dzielić z Robertem Harmerem, trzeciego nie. Tak naprawdę jedyne książki w Wallington stanowiła cała seria oprawionych tomów *Przewodnika wyścigów konnych* Ruffa, a jedyny kulturalny instrument i w istocie jedyny wyróżniający się ornament w otaczającej skórze i rypsie stanowiła katarynka, która naśladowała orkiestrę i robiła ogłuszający hałas.

Jesienią pierwszego roku swojego małżeństwa Zita urodziła małą dziewczynkę, ale po długim połogu, w czasie którego jej cierpienia były wielkie, dziecko przyszło na świat się martwe. Lekarze powiedzieli, że Zita nigdy nie będzie mogła urodzić kolejnego dziecka. Robert przyjął tę wiadomość spokojnie, jakby oczekiwał jej zawsze. Kolejny rok minął w opisany sposób. Zita nigdy nie jeździła do Londynu ani jej siostry czy matka nie przyjeżdżały, by się z nią zobaczyć. Pani Mostyn zamieszkała z najstarszą córką, Teresą, we Florencji. Biznes z kolei sprawił, że Robert musiał wyjechać do Buenos Aires; Zita pojechała z nim. Podobała się jej podróż i nowe widoki, dźwięki, i barwy, ale życie się nie różniło. Jedyne osoby, z którymi się widywali, to pałacy duże cygara przyjaciele biznesowi Roberta i od czasu do czasu brytyjski minister albo jeden z sekretarzy z poselstwa. Zita z nikim się nie zaprzyjaźniła, a klimat jej nie służył. Mieszkali tam dwa lata.

I wówczas pewnego dnia Robert powiedział jej nagle, że wyjeżdżają na dobre do Paryża, przynajmniej na kilka lat.

Osiedli w Paryżu. Robert Harmer najął mieszkanie i zatrudnił służących. To on wszystko zorganizował. Z góry było założone, że Zita jest niezdolna do jakichkolwiek praktycznych działań. Zita myślała, że oto miało się dla niej zacząć nowe życie. Nie podobało się jej mieszkanie na wsi w Anglii; jeszcze mniej podobało się jej życie w Ameryce Południowej. W sumie małżeństwo było dla niej wstrząsającym rozczarowaniem, czego w najmniejszym stopniu się nie spodziewała. Teraz wyczekiwała Paryża z niecierpliwością. Nigdy tam nie mieszkała, ale bywała przejazdem i dużo słyszała o nim od ojca.

– Spodziewam się, że poznamy mnóstwo Francuzów – powiedziała Robertowi w dniu przyjazdu.

– Francuzi trzymają się w swoim gronie – odparł Robert.

– Mój ojciec zwykł był mówić, że zna wiele osób – zaopiniowała – takich interesujących osób – pisarzy.

– Nie obchodzą mnie ludzie bohemy, niechlujny typ sportowców.

– Ale znał wielu różnych ludzi – lekarzy, prawników i żołnierzy.

– Byliby dla mnie zbyt bystrzy – odrzekł Robert.

– Ale papa często chodził na wyścigi.

– Tak, robił tak – zauważył Robert raczej ponuro.

Po tej rozmowie Zita spodziewała się najgorszego.